

30

13770

xx

©

oltr

B 14443



E2 172818 II

LP

XX-P.

LEGIENDY POLSKIE

PRZEZ

[Chromykowski Stanisław]

W. C.



13770
XX

W KRAKOWIE

WYŁOŻONO U Ż. J. WYWIAŁKOWSKIEGO.

1862.

m

Bz 58727
640375 II

B 17443



307



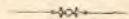
TREŚĆ.



	Srt.
Poseł z Upity	1
Floryan szary	5
Stary koń	8
Pielgrzym skamieniały	19
Jan IIIci pod Lwowem	22
Obrona Trembowli	25
Widzenie	42

Strofy ulotne.

Grobowiec Władysława Białego w Dziżońskim kościele . .	49
Mistrz	51
Góral	54
Lipa	56
Dęby i brzoza	60
Azalia i biała róża	63
Bratki	65
Kamień	66



Posel z Upity.

Leżał na łożu poseł z Upity,
A z czoła krwawy spływał mu zdrój,
Niby w okowach więzień spowity
Z cieniami nocy próżny wiódł bój.

Jak zabłąkany wśród leśnej głuszy,
Daremnie górnych gwiazd wzywał łask,
Bo głos tajemny szeptał do duszy:
W taką noc światła nie wznijdzie brzask.

Więc zaczął miotać straszne zaklęcia
Na dzień urodzin, życie i los,
Gdy ujrzał matkę okiem dziecięcia,
I dawno zmarły usłyszał głos.

Twarcz jój świetlana, chociaż w obłoku,
Niby w gwiazd morzu kąpie się skroń,
Ale syn matki boi się wzroku,
I drżącą ręką chwyta za broń.

Ona mu rzecze: jam nieśmiertelna,
A duch mój niezna przestrzeni lat,
I niepokona mię moc piekielna,
Bo noszę w łonie przyszłości kwiat.

Owoc mój będzie w bólu poczęty,
Ale wyrośnie w bogaty kłos,
Co jak modlitwa czysty, i święty
Jako ofiary błagalnej stos.

Ja jestem matką ludu miliona,
A ty wyrodny jesteś mój syn,
Więc cię odtrącam od mego łona,
Za twój zdradziecki, za krwawy czyn.

Jam jest miłością, jak gołąb biały
Czuwam nad dziećmi i w dzień i w noc,
Nie z tego świata blask mojej chwały,
Więc chce go zaćmić szatańska moc.

Jam słowo bratniej wieściła zgody,
A ty nań fałszu rzuciłeś cień,
I kupcząc złotą tarczą swobody,
Błuzniłeś prawdzie jasnej jak dzień.

Więc jak twa zbrodnia niema granicy,
I ściągą klątwę potomnych lat,
Pomsta cię czeka w grobów ciemnicy,
Piekłem ci będzie rodzinny świat.

Mówiąc, na niebo ręką wskazała,
Jak gdyby słów jej świadkiem był Bóg,
W mglistym obłoku w górę wzleciała,
I wśród gwiazdzistych zniknęła dróg.

A zbrodniarz widział łez krwawych zdroje,
Zanim powieki zawarł mu skon,
I bratnią ziemię i bratnie boje,
I na tej ziemi Eblisa tron.

A jest wieść jeszcze, wieść pogrzebowa,
Co z czynem zbrodni przyniósł nam czas,
Straszna jak klątwy matczynej słowa,
A jak grobowy wymowna głąz.

Gdy w północ zegar zadzwoni z wieży,
W stariej świątyni, gdzie posła grób,
Gdzie leżą kości dawnych rycerzy,
Z posadzki rośnie ognisty słup.

I wraz z tym słupem węzów gromada,
Jak powój, szary oplata mur,
A z grobu zdrajcy kamień opada,
I nad nim krąży szatański chór.

Książę tej zgrai, z dumą na czole,
Co nosi ognia wiecznego szlak,
Staje milczący z berłem w ich kole,
Skinieniem ręki daje im znak.

Więc trąb i fletów odgłos wrzaskliwy
Odbiły echa sklepów i ścian,
I świst się rozległ długi, straszliwy,
Dziki jak wichru wirowy tan.

Ten co pochodnię w dłoń chwycił prawą,
W lewicy czarną tablicę miał,
Ona olśniła się łuną krwawą,
A napis „veto“ wyryty stał.

W gronie tém była młoda dziewczica,
Pierś jej podnosi namiętna gra,
Gdy sine zdrajcy ujrzała lica,
Puchar rozkoszy spełnia do dna.

I lecą duchy w szalonym tanie,
Z tryumfem z grobu unoszą łup,
Ich śpiewom wiatru wtóruje granie,
A księżyc patrzy zimno jak trup.

Lecą na dzikie bagna, bezdroża,
I rośnie w liczbę ich groźny chór,
Ale wschód nieba płonie jak zorza,
I wielki dźwięczny głos spływa z gór.

Postać anioła nawpół w obłoku
 Wyciąga rękę i woła: tam!
 Niechaj wysłucha swego wyroku
 Na miejscu zdrady, u piekła bram.

Kiedy już stanął poseł z Upity,
 Gdzie spełnił zbrodni nieznanej czyn,
 Potok krwi z ziemi trysnął obfity,
 Świadectwo bratnich ofiar i win.

A głos jak trąba grzmiał Archanioła:
 Na miejscu zdrady zbrodniarzu stój,
 Patrz na zburzone zamki i sioła,
 Na karłowaty, nędzny ród twój,

Na grobach ojców w duchów tych tłumie
 Tańcz wśród rozstajnych na wieki dróg,
 Kto miłość braci poświęcił dumie,
 Nad tym już nie ma litości Bóg.

Floryan szary.

Rumiane słońce nad Polską wstało,
Wielki, pamiętny nastąpił dzień,
Miecz bohatera zajaśniał chwałą,
Roty krzyżackie pierzchły jak cień.

Pomszczone krzywdy i łzy sieroty,
I gwałt ołtarzów i ojców krew,
Wróg uciekł z pola z klątwą sromoty,
A za nim gonił zwycięzców śpiew.

W polu gdzie wrzała przed chwilą bitwa,
Gdzie grały strzały i broni szczęk,
Dziękczynna w niebo płynie modlitwa,
Z nią konających błagalny jęk.

Skończone modły, powstał król dzielny,
Młodzieniec z ducha, choć starzec z lat,
Bo kto w dniu jednym jest nieśmiertelny,
Ten wiecznie młody, jak Boży świat.

I król przebiegał skrwawione pole,
I bohaterską nachylał skroń,
Tkliwy na braci nędzę i bóle,
Wyciągał ku nim ojcowską dłoń.

Tam rycerz ducha nim odda Bogu,
Wspomina miły rodzinny dom,
I widzi młodą żonę na progu,
Więc srogi mu jest wyroków grom.

Pierś co przed chwilą nadzieją brzmiała,
Gdzie żywo serca uderzał dzwon,
Jak potrzaskana lutnia zmartwiała,
Żaden już w niej się nie ozwie ton.

Tam leżał we krwi wojownik stary,
Przeszyty srodze od pięciu strzał;
Imieniem Floryan, tak zwany szary,
A wielką w boju sławę on miał.

Król nań spojrzawszy zżałił się srodze,
I rzecze: bracie, widzę twój ból,
Mów czego żądasz, ja cię nagrodzę,
Jeśli żyć będziesz, bom ja twój król.

A on mu na to: to mniej mię boli,
Niżli zły sąsiad, niżli mój wróg,
Co niecnie szydzi z mojej niedoli,
Co domu mego najechał próg.

Nie dość że wydarł mi ojcowiznę,
Wiele mi innych przyczynił strat,
Zasiał niezgody straszną truciznę,
Odkąd zamieszkał wśród naszych chat.

W nasz ogród wśliznął się jak gadzina,
I rzucił zdrady na serca cień,
Brat nie poznaje brata, przeklina,
I ściąga gniewu bożego dzień.

On zburzył szczęście cichego sioła,
W krwi naszych dzieci zaszczerpił jad,
On wstyd pocziwy stał z niewiast czoła,
Wszędzie stóp jego czarny jest ślad.

Wyrwij mię królu z mocy sąsiada,
Co z wiarołomstwa i zbrodni znan,
Bo biada, staręj głowie męj biada,
Jeżeli żywot ocalę z ran.

Więc król mu na to: Floryanie szary,
Za krew przelaną nagrodzi Bóg,
Bo kto Ojczyźnie dochowa wiary,
Przed tym drży piekło i pierzcha wróg.

Bądź dobrej myśli, w potomne wieki
Pamiętny będzie podjęty trud,
Bóg cię osłoni tarczą opieki,
I on podniesie z acny twój ród.

Stary koń.

Jak gniazdo orłów zamek na górze,
Strzegą go mocne baszty i wały;
Słońce zapada w różowej chmurze,
I płonie zachód w purpurze cały.

Na niebie chmurki, jak rój skrzydlaty,
Z wschodu na zachód za słońcem gonią,
Jak złote marzeń młodzieńczych kwiaty,
Co w ranku życia czarują wonią.

Na górze zamek, w dole parowy,
Na wzgórkach płaczą żałobne brzozy,
Wdali czernieje lasek sosnowy,
A droga wiedzie między wąwozy.

Kiedy z parowów pniesz się ku skale,
Najprzód znak męki, krzyż się rozpina,
Obok dwa dęby szumią wspaniale,
A wyżej wiankiem płonie kalina.

Dalój — jaskinia w skale wykuta,
Zdawna w niej mieszka pustelnik stary,
Ztąd dzwoni psalmów pobożna nóta,
Codziennie, skoro zmrok spada szary.

Więc pieśń z jaskini leci po błoniu,
Wtórzą jej echem parowy, gaje,
Kiedy z wawozu rycerz na koniu
Wyjeżdża zwolna, pod krzyżem staje.

Rycerz był kurzem okryty cały,
Hełm miał pogięty i nędzną zbroję,
A rumak jego, smutny koń biały,
Snać długie z panem dzielił już znoje.

Rycerz zsiadł z konia, spojrzał w około,
Na baszty zamku, na miłe drzewa,
Rzekłbyś, myśl tęskna mroczy mu czoło,
Kłęka pod krzyżem i psalmy śpiewa.

Z śpiewem rycerza pieśń pustelnika
Zlewa się razem, faluje, płynie
Skały i wzgórze, gaje przenika,
I aż rozlega się po dolinie.

Rycerz się modli, koń jego wierny
Jakoby pana rozumiał mowę,
Rzuca ukradkiem wzrok miłosierny,
Strzyże uszami i zwiesza głowę.

Śpiewy ucichły, wyszedł z jaskini
Pustelnik z brodą długą i siwą,
Rycerz na piersiach znak krzyża czyni,
I patrzy na twarz jego sędziwą.

Starzec jął pierwszy mówić w te słowa:
„Kto bądź jesteście rycerzu miły,
U mnie wieczerza jest już gotowa,
Wejdźcie i wasze pokrzepcie siły.“

„Bóg zapłać starcze,“ rycerz odpowie,
„W zamku dziś jeszcze stanąć mi trzeba,
Wkrótce noc będzie, boć już w połowie
Zapadnął w ziemię złoty wóz Feba.“

Znacie zapewne mój ojciec stary
Dwóch Toporczyków panów zameczyska?“
„Znam jeno wnętrze mojej pieczary,
Lecz mi nie obce są ich nazwiska.

Często nawiedza mię lud pobożny,
A ci i owi nieraz mi prawią,
Jako Toporów tych ród jest możny,
I jako z czynów mężnych się sławią.

Mówią że ongi było trzech braci,
Jeden z nich zginął w bitwie z Niemcami,
Mężnego serca, wzniosłej postaci,
Jak lew był groźny w boju z wrogami.

Żegota było jemu na imie,
Hufiec go zewsząd liczny otoczył,
A choć miał ramie silne, olbrzymie,
Już żywy z bitwy tej niewyskoczył.

Napróżno bracia szukali ciała,
Pan i koń jego zniknął w rozprawie,
Jeno wieść uszów ich doleciała,
Że bił się dzielnie i poległ w sławie.

Siódmy rok mija już po tej wojnie,
Więc bracia wzięli po nim spuściznę,
W zamku mieszkają jego spokojnie,
A mają sioła i ziemie żyzne.“

Więc rycerz na to: „ojciec mój miły,
Płonne są wasze wieści i gadki,
Żegota z zmarłych powstał mogiły,
I znów powróci na łono matki.

Gdy on był małym jeszcze dziecięciem,
Ponad kolebką wróżka prawiała,
Że zbrojny słów jej, modłów zaklęciem,
Pokona w życiu swém wrogów siłą.

Na piersiach dziecka krzyż był czerwony,
Więc czarodziejka wróżyła z blizny,
Że wzrośnie rycerz w boju wsławiony,
Długo żyć będzie na cześć Ojczyzny.

Wróżyła ona, że krzyża znamie,
W boju od grotów pierś mu przesłoni,
Umocni serce jego i ramie,
I od pokusy czarta obroni.

Rycerz ten żyje, on pan zamczyska,
Choć ranny srodze, wzięty w niewolę,
Do rodzinnego wraca siedliska,
Ja braciom jego opowiem dołę.

Moją powieścią serca ich skruszę,
Niech mu oddadzą zamki i włości,
Boć dużo cierpiał, więc na mą duszę,
Godzien jest doznać bratniej miłości.“

„Zacnie spełnijcie wasze posłanie,
Lecz serca ludzkie twarde są bracie,
Nie otwierają się na wezwanie,
Choć w imię prawdy do nich stukacie.

Jednak szczęście Boże, rycerzu prawy,
Bo kto do serca bratniego woła,
Kto miłość sieje, godzien jest sławy,
Z nim Bóg i pomoc jego anioła.“

Tak rzekł i krzyżem żegna rycerza,
I do pieczary ciemnej odchodzi;
Rycerz wszedł na koń, do zamku zmierza.
I w drodze smutną piosnkę zawodzi.

*

*

*

W zamku dwaj bracia piją ochoczo,
O dawnych bitwach i ucztach gwarzą,
Wojnę i taniec w myśli jednoczą,
Słodki miód piją i słodko marzą.

Starszy brat gładzi wyniosłe czoło,
I do młodszego prawy wesoło:
„Dziś nie spokoju nam niezakłóci,
Po trudach wojny czas spocząć bracie,
Zegota zginął i już nie wróci,
Trzeba pocieszyć się nam po stracie.

Jam jest najstarszy z naszego rodu,
Więc czas bym wybrał dziewczkę za żonę,
Posłałem swatów, bez korowodu
W rodzie Nałęczów mam narzeczoną.

Sute, weselne wyprawię gody,
Dość mamy beczek miodu i wina,
I gęślarz będzie, ów Jurko młody,
Co tak się pieśnią sławić poczyňa.

Niechaj na lutni zagra, zaśpiewa,
A my wtórować będziemy mu z duszy,
Bo pieśń się bracie z serca wrywa,
Gdy Jurko palcem struny poruszy.

Potem niech w trąby, kotły uderzą,
A młodzi pójdą w szalone tany,
Starsi rycersko mieczem się zmierzają,
Jako jest zwyczaj zacny i znany.“

„Prawdę mówicie mój bracie miły,
Odrzekł brat drugi, wiek wasz niemłody,
Cztery krzyżyki już się skończyły,
Czas, czas wam ślubne wyprawie gody.

Atoli wiecie, wieść się rozechodzi,
 Że brat najstarszy żyje i wróci,
 Jeżeli jeno wieść ta niezwodzi,
 On może nasze szczęście zakłóci.“

„To być nie może, starszy brat na to,
 Jam msze zakupił za jego duszę,
 Jak zginął siódme bieży już lato,
 Ja panem zamku pozostać muszę.“

Tak rzekł i do dna wychylił czarę,
 Potem na brata patrzy i woła:
 „Co widzę? próżną gonicie marę,
 Niech miód wam spędzi tę chmurę z czoła.

Pijcie wesoło, jak się ożenię
 Was też wyswatam, świat brednie baje,
 Jak jestem Topór, słowa nie zmienię,
 A kto raz umarł nie zmartwychwstaje!“

Tak rzekł, wtém nagle drzwi się rozwarły,
 Rycerz przybliża się do nich w zbroi,
 To brat ich, żywy czyli umarły,
 On, czy duch jego przed niemi stoi.

Bracia zerwali się z ławy z trwogą,
 Jakby na widok dzikiego zwierza,
 Sędziwój z myślą w oczach złowrogą
 Patrzy na ciemną postać rycerza.

Rycerz jak posąg stał nieruchomie,
 Lecz zwiesił głowę, nagiął się cały,
 Niby dąb w burzy straszliwój łomie,
 Gdy go piorunne przeszyją strzały.

Po chwili w górę rękę podnosi,
 Zrywa hełm z głowy, rzuca na stronę,
 Jego twarz blada, łza rzęsy rosi,
 A czoło szramą jest naznaczone.

„„Czyż mię nie znacie? o, moi mili,
Jam Topór, brat wasz, wracam z niewoli,
Ja pan tych zamków, nędzarz w tej chwili,
Błagam przytułku w mojej niedoli.“““

Dwaj bracia rzuca wzajemnie okiem,
Każdy brwi marszczy, czoło zachmurza,
Rzekłbyś w milczeniu owém głębokiem,
Brzemienna kłątwa zbliża się burza.

Znowu po cichu mówią do siebie,
Nawój w milczeniu na bok odchodzi,
Sędziwój woła: „precz! nie znam ciebie,
Nie wiem kto jesteś i kto cię rodzi.“

Żegota słyszy drżący, wzruszony,
Więc do młodszego z żałością prawi:
„„Bracie Nawoju miły, rodzony,
Miěj litość, Bóg ci pobłogosławi.

Pomnisz Nawoju, jak w owėj wojnie
Byliśmy razem przy króla boku,
Jak on na koniu siedział spokojnie,
Wśród wrzawy bitwy, w kurzu obłoku.

Pamiętasz bracie radość tej ziemi,
Gdy Niemcy z pola bitwy pierzchnęli,
Jak król nasz wołał: w pogoń za niemi,
Jak myśmy taniec znów rozpoczęli.

Od szczęku mieczów i rżenia koni,
Rzekłbyś radością ziemia zadrżała,
Jam za wrogami sunął w pogoni,
Szczipły huf za mną leciał jak strzała.

Daleko uniósł mię koń mój biały,
Chmurą mię zastęp wrogów okala,
Napróżno bracia wzywają zdala,
Nad uchem świszczą niemieckie strzały.

Czas jeszcze z mieczem i z tarczą w dłoni,
Walcę, wróg zewsząd na mnie uderza,
Wołają, że mnie moc czartów broni,
W końcu sam burgraf, sam wódz ich zmierza.

Burgraf znienacka ciał mieczem w głowę,
Raniony srodze, padłem na ziemię,
Bracie, powieści znasz mój połowę,
Odtąd niewoli dźwigałem brzemię.“““

Zamilkł Żegota i rozrzewniony
Patrzył na brata z bólu wyrazem,
Lecz Nawój zimny, nieporuszony,
Był jako posąg bez serca głazem.

Więc znowu rycerz wyciąga dłonie,
I woła: „bracia, czyż mnie nie znacie?
Jam krwi nie szczędził w waszej obronie,
A wy tak zimno mię dziś witacie.

O bracia moi, jam cierpiał wiele,
Najprzód mię burgraf w więzieniu głodził,
A potem za nim w święta, w niedzielę,
Jam na postronku gończych psów wodził.

Bóg mi poszczęścił, pewnego rana,
Na łowach, kiedy dzik ranny z gniewem,
Z rozwartą paszczą biegł wprost na pana,
Jam go na ziemię powalił drzewem.

Burgraf, choć niemiec, wdzięczny za życie
Com mu ocalił, wolnością darzy,
A chcąc nagrodzić za to sownie,
Ów czyn mój jeszcze na złoto waży.

Idź, mówi — z Bogiem, trzos złota daje,
A ja mu na to: nagradzasz hojnie,
Lecz koń mój stary tu pozostaje,
On mój towarzysz, mój druch na wojnie.

Panie, ja twego nie wezmę złota,
Lecz zwróć mi konia jeśli on żywy;
Burgraf się zdumiał zkąd ta ochota,
Atoli wielce był mi życzliwy.

Wiodą mi konia, szlachetne zwierze,
Po latach kilku wita mię rzeniem,
Jeno mię litość patrząc nań bierze,
Koń mój dawnego zdał się być cieniem.

Poznał mię bracia, gdym go pogładził
Rozszerzył nosdrza i zadrżał cały,
Jakby mu bitwy trąby zagrały,
A gdym go dosiadł, jak jeleni sadził.

Koń został wierny, ten koń mój biały,
A wy mię bracia poznać nie chcecie,
Sroższe niż miecze wrogów i strzały,
Wy rany duszy mój zadajecie.“

Skończył Żegota, starszy brat woła:
„Precz, uchodź z zamku, my cię nie znamy,
Myślisz, że baśń twa uwieść nas zdoła,
Próżnym twym słowom wiary nie damy.“

Znów Nawój za nim, patrząc wciąż w ziemię,
Jak wilk gdy świeżo jagnię zadławi,
Woła: „precz z oczów, obłudne plemię,
Chytry twój zamysł nic tu nie sprawi!“

Więc rycerz wznosi głowę i rękę:
„Na wszystkie bóle, nędze żywota,
Klnę się na Syna Bożego mękę,
Jakom jest Topór, brat wasz Żegota.

Jam nie chciał mego dochodzić prawa,
Jeno myślałem wam błogosławić,
Ale wam droższe mienie niż sława,
Więc przed sąd króla muszę się stawić.

Odkład mię bratem nazwać nie chcecie,
Ja was się zaprę przed ludźmi, Bogiem,
Chociaż jak bratnie słowo na świecie,
Nie mi tak równie nie było drogiem."

Rzekł i hełm podjął, włożył na głowę,
I wyszedł śmiałym krokiem z komnaty,
Bracia rycerza zważają mowę,
I z trwogą przyszłe liczą już straty.

* *

*

Z zamku do zamku, z grodu do grodu
Jeździł król dobry i lud zgromadzał,
Jak miłościwy ojciec narodu,
On winnych karał, dobrych nagradzał.

Do Sieciechowic dąży lud mnogi,
A w zamku tłumnie rycerstwo gwarzy,
Sam król zawitał w Toporów progi,
Bo wielka w sądzie sprawa się waży.

Rycerz Żegota wrócił z niewoli,
Gdy do serc bratnich próżno kołacze,
Błaga o litość króla w niedoli,
I opowiada dzieje tułacze.

Król go wysłuchał, wyrok wydaje,
By mu zabrane wrócili mienie,
Pokrzywdzonemu prawo przyznaje,
Braciom wyrzuca ich przewinienie.

Sądy skończone, Żegota woła:
„Dzięki wam panie mój miłościwy,
Za powrócone zamki i sioła,
Ale żal w sercu mam sprawiedliwy.

Jak pamięć moich naddziadów czysta,
Drogą mi zawsze ma tarcza była,
Strzegli ją miłość i cześć ojczysta,
Jeno tak niecznie dziś się splamila.

Gdy koń był wierny, bracia rodzeni,
Wyprzeć mię chcieli z Toporów gniazda,
Więc niechaj tarcza moja się zmieni,
Jak losu mego zmienia się gwiazda.

Co Topór stracił, niech koń odbierze,
Niech w tarczy królu będzie koń stary,
A niech tak w cnocie żyją rycerze,
Jak on mi stale dochował wiary.

Na to król odrzekł: „słuszne żądanie,
Niechaj koń godłem rodu zostanie.“

Los też się zmienił z tarczą Żegoty,
Pojął on cudną dziewczkę za żonę,
Miał synów mężnych wielkimi cnoty,
A było imie Starzów sławione.

Pielgrzym skamieniały*).

Głowę posypał popiołem,
Na kolanach, z korném czołem,
Już do gór Świętego Krzyża,
Pielgrzym zwolna się przybliża.

„Zkąd to idziecie pielgrzymie?“
Zapytał go wieśniak stary.

„Byłem, rzeczce, w starym Rzymie,
Trudy moje są bez miary;
Po tak długim, ciężkim znoju,
Po dniach tylu niepokoju,
Kiedy do kresu przybywam,
Znaleść niebo się spodziewam.

„Czyście pewni tak już bracie
Ze zbawienie otrzymacie?
Boć nam kościół zapowiada,
Że do nieba trudna droga,

*) Treść tej legendy jest poczerpnięta z ludowego podania o kamiennym posągu, który wyobraża klęczącą osobę, a znajduje się u stóp Łysiej góry, przy drodze wiodącej do Świętokrzyskiego kościoła.

A najkorniej się spowiada,
Ten, kto w łasce jest u Boga.“

„A któż zbawionym być może,
Jeśli nie ja — com dostatki
Pozostawił w imie Boże,
Com opuścił żonę, dziatki,
Moje szczęście i pociechę,
I rodziną moją strzechę;
Com za młodu wzgardził światem,
Na kolanach, w kraj daleki,
Szedłem zimą, szedłem latem,
Schnąc od skwarnej słońca spieki,
Jeśli nie ja — w imie Boże,
Powiedz, kto być zbawion może?

Rzekł, — a czarna nad nim chmura,
Zaluczala niebios gromem;
I jęknęła Łysa góra,
Niby bluźnierstwa pogromem.

Na pielgrzyma obłok spływa,
Twarz się mieni i sinieje,
Wzrok gaśnie i kamienieje,
Posępna mgła go zakrywa.

Kłęcząc, jakby w ziemię wbity,
Powstać sili się daremno,
Nadludzką siłą spowity,
Zamienia się w bryłę ciemną.

Skamieniałego oblicza,
Niemiej jest wyraz boleści,
A ciemna i tajemnicza
Dusza w posągu się mieści.

I mówi stare podanie,
Że krok jeden co wiek cały,

Stąpa pielgrzym skamieniały,
Nim na górę się dostanie,
Kiedy trąba Archaniola,
Na sąd Boży go powoła.

Zakuty w bryle kamienia,
Ze świadomością istnienia,
Ciężką odbywa pokutę.
Płyną lata, płyną wieki,
Niezamknie nigdy powieki,
I gwar życia, pieśni nutę,
Słyszy bez iskry zapалу,
Bez przyszłości, bez udziału.

Przyroda w szacie wiosennej
Ściele mu kwiaty pod nogi,
I słońce w chwale promiennej,
Oświeca posąg złowrogi,
Posąg kamienny a żywy,
Z duszą, co głazem spowita,
Wyrok niezmienny, straszliwy,
W dziejach przeszłości swęj czyta.

Pielgrzym spostrzegłszy grzesznika
W klęczącej głazu postaci,
Gdy skrucha serce przenika,
Z westchnieniem mówi do braci:
„Ten tylko zbawion być może,
Kto krzyż swój dźwiga w pokorze.“

Jan III^{ci} pod Lwowem.

Zachwiał się, zadrżał nasz kościół stary,
Pękły filary jego olbrzymie,
Mąż jeden schwycił za sztandar wiary,
Jan trzeci było jemu na imie.

Chorągiew jego jako śnieg biała,
Skrzydłami kościół zakryła cały,
Rycerzom mlęczną drogą jaśniała,
I do przybytku wiodła ich chwały.

Pomiędzy Bogiem a jego ludem,
Mąż ów jak arka stawał przymierza,
Silny był wiarą i woli cudem,
Urągał gromom jak szczytna wieża.

Patrzcie! już chmura ciągnie ze wschodu,
Za nią słup idzie ognia i dymu,
Za morzem jęk się odbił narodu,
I aż na wzgórza zaleciał Rzymu.

Lud patrzy z trwogą na krwawe znaki,
Co mu niewolę i mordy wróżą,
Na niebie czarne krążą już ptaki,
I cicho, groźnie, jakby przed burzą.

A Lwowskie dzwony żałośnie dzwonią,
Bo czarna chmura ku nim się zbliża,
Tam huf rycerzy stoi pod bronią,
Z nim król, chorągiew i znamie krzyża.

W orszaku króla polska królowa,
W świątyni pańskiej klęczą z nią dzieci,
A pochylona piękna jój głowa,
I łza srebrzysta w oczach jój świeci.

Bo wódz co nigdy przysiąg nie łamie,
Przed wielką bitwą rzekł do rycerzy:
„Niechaj w bój każdy ochoczo bieży,
Bóg wspiera bracia, odważne ramie.

Gorsza od śmierci niemocy zdrada,
Bo gdy się matka w całun oblecze,
Kłątwa téj ziemi, dzieciom jój biada,
Jeśli na grobach rdzewieją miecze.“

Taką rzecz czynił, przed walną sprawą,
Gdy jak szarańcza pogaństwo płynie,
Więc okrzyk rozległ się po dolinie:
„Mamy dziś ginąć, gińmyż ze sławą.“

I wita wrogów Rusi stolica,
W porannej zorzy i w mgle się bieli,
Niby półsenna jeszcze dziewica,
Kiedy rumiana wstaje z pościeli.

W mieście płacz wielki i biją w dzwony,
A na stepowym koniu jak burza,
Król leci w pole, jak lew zburzony,
Lotem błyskawic przebiega wzgórze.

Stoją sprawione do bitwy szyki,
Chorągwie białe jak ptaki bieżą,
A Jezus, Marya, biją okrzyki,
Lasami włóczni wzgórze się jeżą.

Już hasłem boju działa zagrzmiały,
Zatem janczarów hufiec się zbliża,
Jak śmierć okrutny, jak grom zuchwały,
I na wyznawców uderza krzyża.

Chwieją się, polskie cofają rotę,
 Król ich wstrzymuje i wznosi dłonie,
 A na sam widok bratniej sromoty,
 Jego twarz żalem i gniewem płonie.

I woła: „bracia, spojrzycie w górę,
 Ufajcie Bogu, on waszą mocą!...“
 Patrzą się w niebo, i widzą chmurę,
 Co błękit czarną zaszuwa nocą.

Więc znów szeleszczą chorągwie białe,
 Lecz jak łodzie na wielkie morze,
 I król, jak żeglarz, ludom na chwałę,
 W imie ojczyzny i w imie Boże.

Lecz, i nie ich w biegu nie wstrzyma,
 Bo wielki cel jest i święta sprawa,
 I każdy rycerz urosł w olbrzyma,
 A w każdej dłoni miecz Bolesława.

Nagle z chmur czarnych błyskawic wstęgi
 Olsniły oczy wrogów tej ziemi,
 Słuchają: groźne niebios potęgi
 W huku gromowym dzwonią nad niemi.

Chwieją się, łamią niewiernych rotę,
 Okrzyk ich Ałlach w burzy zaginał,
 Gdy z ognistemi piorunu groty,
 Z chmur ołowianych deszcz gradu spłynął.

Stało się, Boża była w tym wola,
 Śnieg na lipcowe wonne spadł łany,
 I gdy wróg z klątwą uchodził z pola,
 Cały kraj drzemał w bieli ubrany.

Obrona Trembowli.

Rolnik znów sieje ziarno na niwie,
Gdy spracowane ociera czoło,
Z otuchą w sercu marzy o żniwie,
Marzy i nuci piosnkę wesoło.

Nad rzeczką dziewczę tam jasnowłose,
To uszczknie kwiatek, to w wodę wrzuci,
Igra jak dziecię, rozplata kosę,
Marzy, że w krótkce miły jój wróci.

A tam znów rycerz zdjął zbroję twardą,
I do kochanki bierzy na gody,
Do góry głowę podnosi hardą,
Snać dumny z boju jedzie pan młody.

Ale rolniku, ale dziewczyno,
I ty rycerzu na białym koniu,
Wkrótce nadzieje wasze rozplyną,
Jak mgły, w porannój rosie na błoniu.

Ogień spustoszy chaty i role,
Dziewczyne wezmą w jasyr Tatarzy,
A ty rycerzu, młody sokole,
Położysz głowę za cześć ołtarzy.

Wróg jak szarańcza w ziemi się grzebie,
Lecz znowu potwór ożyje z wiosną,
I kirem zaćmi słońce na niebie,
Gdy mu do lotu skrzydła wyrosną.

Wie nasz wódz o tém, więc w polu stoi,
Przysiągł, że póki hydry nie złamie,
Póty stać będzie na koniu, w zbroi,
Groźnie nad wrogiem zwiesiwszy ramie.

I rzekł król dzielny: „świadcę się Bogiem,
Gwoli ojczyzny mojej obronie,
Naród mię wybrał, nim skończę z wrogiem,
Nie włożę wieńca Piastów na skronie.“

Na szczycie góry, w Podolskiej ziemi,
Stoi Trembowła, zamków królowa,
W krąg opasana baszty ciemnymi,
Stoi samotnie smutna jak wdowa.

Z wałów daleko sięga zrenica,
U stóp zarośla, dzikie parowy,
A dalej bujnych łąk okolica,
Pod szmaragdowym lasem dąbrowy.

Lecz skoro groźny kometa krwawy,
Złowróżbną różgę zawiesi w niebie,
W dymie, w obłoku gęstym kurzawy,
Duch piekieł lasy, pola zagrzebie.

Wódz Muzułmanów, Ibraim Basza,
Tłumy pohańców ściągnął ze wschodu,
Hukiem dział wilków z lasów wystrasza,
Ludziom śmierć niesie ognia i głodu.

Liczne morderczych machin paszczęki,
Zioną płomieniem i w dzień i w nocy,
Ziemia wydaje grobowe jęki,
Lecz twierdza szydzi z szatańskiej mocy.

Stoi rycerskich wieków spuścizna,
Na straży dawniej narodu sławy,
Stara jak nasza matka Ojczyzna,
Każdy wiek na niej wyrzył swe sprawy.

* *

*

Wnaróżnej baszcie, w stariej komnacie,
Przyklęka pani jak marmur blada,
Z różańcem w ręku i w czarnej szacie,
Przed krzyżem Zbawcy na twarz upada.

Obok syn klęczy, młode pachole,
Kornie się modli złożywszy dłonie,
Rozważa męki Chrystusa bóle,
I wzrok w cierniowej utkwil koronie.

Nagle rozwarłe brzękły podwoje,
Wchodzi pan zamku odziany w zbroi,
Tłumi żal w sercu i niepokoje,
A jak duch niemy na progu stoi.

Niewiasta zwolna z ziemi powstała,
Patrzy w twarz męża, cichą, ponurą,
Więc jak topola gibka zadrżała,
Twarz jój zmoczyła się lekką chmurą.

Mąż milczy jeszcze, więc ona woła,
Biorąc za rękę małego syna,
„Złą wróżbę czytam z twojego czoła,
Mów, zła czy dobra bije godzina.



Mów, wiesz że śmierci ja się nie boję,
Wiesz, że w kolebce jam w krwi skąpana,
I za poduszkę dziad mi dał zbroję,
Kiedy mię wyrwał z jassyru Hana.“

„Złą wieść ci niosę, złą, moja miła,
Naszym wytrąca miecz z rąk trwoga,
Mówią, że wielka wrogów jest siła,
I że nas czeka ich zemsta sroga.

Bóg mi jest świadkiem, życia nie cenię,
Kropkę krwi każdą, Pan płaci w niebie,
Jeżeli jeno czyste sumienie,
Lecz żal mi miła dziecka i ciebie.“

„O Samuelu, twojeż to słowa?
Tobie żal dzisiaj syna i żony,
Mam serce matki, alem gotowa,
Poświęcić dziecko me dla obrony.

Nie mów mi tego, o Samuelu,
Bo cię tu nieme słuchają ściany,
I bohaterów umarłych wielu,
Patrzy na każdy czyn dokonany.

Spojrzyj w ten obraz, w twarz mego dziada,
Tak jest podobny, jakby stał żywy,
Czasami czekam czy niezagada,
Widzę to oko i ten włos siwy....

Boć on w mej zawsze przytomny duszy,
Choć starzec, miał on serce młodziana,
Nie zaznał innęj w życiu katuszy,
Bratniej go sławy bolała rana.

Dobrze pamiętam krwawą godzinę,
Kiedy mi matkę zabili w nocy,
A on mię małą wtenczas dziewczynę,
Odbił, i wyrwał z Tatarskiej mocy.

Pomnę jak pędził ze mną po błoniach,
Jak łódź na morzu z wiatrów muzyką,
Wołając ciągle: dalej mój koniu!
Raz jeno w przestrzeń spojrzął się dziką.

Widzi, nad Dniepru stanąwszy brzegiem,
Że wróg jak chmura za nami goni,
Więc skoczył, piana bryzgnęła śniegiem,
A dzielny żeglarz śmieje się z toni.

Koń dobił brzegu, zarżał wesoło,
Pan go pogłodził i dalej leca,
Stare kurchany tańczą w okóło,
A gwiazdy w niebie jak duchy świecą.

Tak przez noc całą, do wschodu słońca,
Lecim, chłód nasze czoła owiewa,
Lecim po wielkim stepie bez końca,
Gdzie jeno czasem wiatr nam zaśpiewa.

Pomnę jak koń nasz stanął przed domem,
Pustki w okóło, a matka w grobie,
Więc pod boleści ciężkiej ogromem
Płaczę i serce więdnie w żałobie.

Dziad mój to widzi, a więc mi rzecze:
Nie płacz dziewczyno, choć dola sroga,
Bóg o sierocie będzie mieć pieczę,
Gdy cię ocalił cudem z rąk wroga.

A skorom wzrosła, rzekł: dziewczko moja!
Ojciec w Chocimskiej zginął wyprawie,
A od Tatarskich strzał matka twoja,
Wierna do grobu pocziwój sławie.

Twój ród dzielnemi znaczył się czyny,
Więc w mężu twoim uszanuj blizny,
Niech wierze ojców nie skłamią syny,
Nie szczędź twych dzieci w sprawie ojczyzny.

Te słowa w biedném sercu sieroty
Wryte odtąd złotemi głoski,
Nadały hart jój naddziadów cnoty,
I marą były mi życia troski.

Nie miałam matki, ojca ni brata,
Dawno pod trumny oni śpią wiekiem,
Ale znośniejszą była mi strata,
Bo miłość ziemi wyssałam z mlékkiem.

Płochęj rozkoszy czarów nieznałam,
Nie dla mnie złotych motylów kwiatki,
Bo jak samotny krzew wyrastałam
W sercu i z serca ziemi mój matki.

Ona móm była szczęściem i światem,
A moją chwałą wspomnień jój chwała,
I ten był moim kochankiem, bratem,
Kogo swym stróżem ona uznała.

Z pośród rycerzy znanych mi wielu,
Wybór na ciebie padł Samuelu,
Bo byłeś mężem sercem i głową,
A w twarzy twojej czytałam blizny,
I na najświętsze przysiągłeś słowo,
Że będziesz wiernym synem ojczyzny.

Jesteś mym mężem, więc porzuć żale,
Nie czas dziś myśleć o losie żony,
Ja sama z synem stanę na wale,
Słyszysz?.... kraj wzywa nas do obrony!"

Rzekła i ręką na wał wskazała,
Krasą jój słońca jaśniały lica,
A kiedy zbroję lśniącą przywdziała,
Wybiegła groźna gniewem jak lwica.

Ona najpierwsza stanęła w dziele,
Za nią Samuel Chrzanowski bieży,

A widząc panią zamku na czele,
Garnie się zewsząd zastęp rycerzy.

Więc przez dzień cały z chorągwią w dłoni,
Jak Anioł mściciel z mieczem i w zbroi,
Z aureolą światła na skroni,
Niewiasta-rycerz na wałach stoi.

I przez dzień długi do późnej nocy,
Piorunnym hukiem ziemia jęczała,
A serca mężnych szydzą z przemocy,
I nieustają bić z wałów działa.

* *
*

Noc zawiesiła swój całun ciemny
Nad żyjącemi, nad umarłemi,
I księżyc blade, cichy, tajemny,
Z chmurą na czole, pływał nad niemi.

W obozie wrogów, w okrąg ogniska,
Jak duchy snują się nocne czaty,
Miecz u każdego boku połyska,
A różnobarwne mienią się szaty.

Pod strażą groźnych janczarów w zbroi,
Ibraim Basza leży w namiocie,
O chwale przyszłych podbojów roi,
W Giaurów krwi się kąpie i złocie.

Ale myśl wroga czoło mu mroczy,
Kiedy na dzielną wspomni obronę,
Król mu Jan trzeci staje przed oczy,
I Samuela widzi on żonę.

A więc się rzuca z sromu i gniewu,
 Że z nim niewiasta do walki staje,
 I że zabrania zebrać posiewu,
 Co wraz z Trembowłą los mu oddaje.

Nagle jak tygrys z łoża wyskoczył,
 I na naradę Baszów swych woła,
 Liczny brodaczków rząd go otoczył,
 A wszystkie kornie chylą się czoła.

W tém szpieg wysłany w nocy na zwiady,
 Doniósł, że król Jan na odsiecz bieży,
 Ta wieść przecięła węzeł narady,
 Drżą muzułmańskich serca rycerzy.

Więc wódz ich na to: ze wschodem słońca,
 Jutro Trembowli muszę być panem,
 Napiszę układ i wysłę gońca,
 Bo trudna sprawa z polskim hetmanem.

* * *

W komnacie zamku już świt poranny,
 Złoci okienko, gzymsy i mury,
 I pada na twarz Najświętszej Panny,
 Co mile z dzieckiem spogląda z góry.

Na łożu pani tam spoczywała,
 Włosy jej czarne a twarz jej biała,
 Suknia jej w fałdach na ziemię spada,
 Jak czoło pani, jako śnieg biała.

A ona marzy i jak na jawie
 Widzi kochankę i oblubienicę,
 Wielkość królowej w dziewy postawie,
 I męstwo w hardziej twarzy młodzieńca.

Wchodzą w podwoje wielkie kościoła,
Gdzie śpią rycerze jak na Wawelu,
Diadem gwiazd wieńcem bije z jej czoła,
A hymn ją głosów powitał wielu.

Świat był uczucia w królowej oku,
I twarz jej w rannym słońca promieniu,
Na wpół błyszcząca, na wpół w obłoku,
Lecz krzyż był czarny na jej ramieniu.

Ona u stopni ołtarza stoi,
Z nieśmiertelników nad nią był wieniec,
Ale zakuty w żelaznej zbroi,
Nie śmie postąpić kroku młodzieniec.

Więc ona śnieżne wyciąga dłonie,
I kapłan stułę podnosi białą,
On się przybliżył, a jego skronie
Oczy królowej olśniły chwałą.

Sędziwy kapłan wiąże ich ręce,
Lecz stuła biała mieni się w krwawą,
I jak w Golgoty ofiarną męce,
Krzyż ma być odtąd rycerza sławą.

Nagle północna bije godzina,
Z pod stopy męża pierścień węzowy,
Rośnie i coraz wyżej się wspina,
I już dosięga serca i głowy.

Piękna królowa ręce załamanie,
Patrzy z wyrzutem na twarz rycerza,
Jego bezsilne zwiesza się ramie,
Grobowym dzwonem jęknęła wieża.

Waż się w tysiące węzów zamienia,
Nad grobowcami obłok zapada,
Świst rośnie, luna sklep opłomienia,
Budzi się pani i woła: zdrada!

Zrywa się z łoża, przeciera oczy,
Biegnie do okna, patrzy i słucha,
Już wóz płomienny słońca się toczy,
A w koło cisza zaległa głucha.

Na wałach niema polskich rycerzy,
Więc przypomina sen i rozważa,
I do zbrojowni jak mara bieży,
Okrzyk jej „zdrada“ echo powtarza.

* *

W progach komnaty stał poczet zbrojny,
Tam wódz Samuel siedzi za stołem,
Otoczon szlachty, rycerzy kołem,
I z niemi radzi o losie wojny.

Więc po kolei każdy brat rzecze,
A taka była treść owjej rady,
Że trzeba karki poddać pod miecze,
Lub wejść z Tatarskim wodzem w układy.

Szczupły huf braci stu głów nie liczy,
Nie ma nadziei rychłej pomocy,
A ciemna chmara pogańskiej dzieczy,
Zalega pola jak całun nocy.

Znów jeden z szlachty taką rzecz czyni:
„Wyłom jest w murze, wątle są bramy,
Ma wróg się pastwić, król nieobwini,
Jeżeli zgodnie twierdzę oddamy.“

Samuel wacha się i przekłada,
Że cześć rycerska poddać się wzbrania,
W końcu sam rzecze: „ha!... trudna rada,
I do umowy z wrogiem się skłania.

Westchnął starosta, list Baszy bierze,
I czyta zwolna słowo po słowie,
Trudno zaufać Tatarskiej wierze,
Więc treść układu rozważa w głowie.

Wreście wziął pióro..... w tém szmer w komnacie,
Odwraca głowę, patrzy, o dziwy!
Niewiasta w czepcu i w białej szacie
Wbiega i woła: „stój, nieszczęśliwy.“

Błada jak widmo, czarne jęj oczy
Rzucają iskry gniewu jak główne,
Mocą go wzroku ku ziemi tłoczy,
Rękę wyrzuca w górę raptownie.

„Patrz, mam dwie bronie, jedną na ciebie,
Jeśli podpiszesz, ja cię zabiję,
A w drugiej ręce mam broń dla siebie,
Na chwilę chańby tej nieprzeżyję.“

Samuel rzucił pióro i woła:
„Szał cię ogarnął, czego chcesz żono?
Nie mamy broni i ludzi zgoła,
Ta garstka cała naszą obroną.“

Na to mu pani z szyderstwem rzecze:
„Brak wam mój mężu serca nie dłoni,
Gdzie są dwie ręce, dwa jeno miecze,
Tam dość jest jeszcze ludzi i broni!“

Wszyscy rycerze ze czcią powstali,
Patrzą z podziwem w niewiasty lice,
Stoją na miejscu jak skamieniali,
Jęj oczy świecą, jak dwie gromnice.

Samuel, rzekłbyś, nagle zbudzony,
Usłyszał z grobu grzmiący głos Piasta,
Woła: „czas nagli już do obrony,
Wstyd nam, boć prawdę mówi niewiasta.“

I za miecz chwyta, kto jeno żyje,
I hasłem bitwy komnata dzwoni,
A jeden okrzyk na chwałę bije:
„Na wały bracia, bracia do broni!“

Rycerze w szyku stają do bitwy,
Na wałach hymn się ozwał poranny,
Chyłą się czoła ich do modlitwy,
Pieśń do Najświętszej wznosi się Panny.

Bóg wsparł rycerstwo polskie widomie,
Wódz wszędzie biega, zapala działa,
A jak chorągiew, tam, na wyłomie
Powiewa suknia Chrzanowskiej biała.

Kul niezabraknie, bo lecą gradem,
Sam wódz je ciągle zbiera i liczy,
Inni za jego idą przykładem,
I ślą z powrotem pogańskiej dziczy.

Próżno huf wrogów na wyłom bieży,
Bo tam niewiasta dzielna dowodzi,
Jęj towarzysze biją z móżdżerzy,
I wróg w krwi własnej od rana brodzi.

Już obłok dymu niebo zakrywa,
A każdy rycerz jakby z granitu
Stoi na wałach, hymn święty śpiewa,
Rzekłbyś u sławy stanął już szczytu.

O bok niewiasty stał rycerz młody,
Patrzył się na nią w niemym zachwycie,
Jakby w niej czerpał ducha swobody,
Co mu dał poczuć dzielniejsze życie.

Tak się w jęj oczy jak w księgę wczytał,
 Jęj chwała jego stała się chwałą,
 Bo kiedy upadł przeszyty strzałą,
 Z uśmiechem gońca śmierci powitał.

Krew z jego rany płynie obficie,
 A on ostatek sił jeszcze zbiera,
 I woła: „szparko ucieka życie,
 Lecz pamięć czynów z niem nie umiera.“

Pragnie się podnieść, ale się ślania,
 I za kraj szaty niewiastę chwytą:
 „Pani, wysłuchaj mego wyznania,
 Bo dusza moja w grzechu spowita.

Jam winny zbrodni, okropnej zdrady,
 Szatan mi w ucho poszepnął słowo,
 Jam pierwszy czynił z wrogiem układy,
 I braci serca zachwiał namową.

Niepomny na sąd kraju i Boga,
 Jam śmiał pozbawić twierdzę obrony,
 Bo serce gnuśna objęła trwoga,
 I zatęskniłem do młodej żony.

Zgrzeszyłem, wielka moja jest wina,
 Atoli krew ta plamę zaciera,
 Błogosławiony dzień i godzina,
 Co mi do łaski drogę otwiera.

Zacna niewiasto, tyś to sprawiła,
 Że syn nieprzeklnie ojca pamięci,
 I że mi lekką będzie mogiła,
 Gdy łąza ją moich braci poświęci.

Jam nie bogaty, jeno miecz stary
 Ojciec po przodkach dał mi w spuściznie,
 Co prawej w rękach ich bronił wiary,
 I jak przystało służył ojczyźnie.

Miecz ten racz przesłać do mego domu,
Niech go synowi matka pokaże,
Niech w jego rękach ma siłę gromu,
Co broni zacne a podle karze.“

Rzekł — i miecz stary złożył w jej dłonie,
I skamieniały w mgłę śmierci oczy,
A blask zachodu oblał ich skronie.
Z lica niewiasty wiał duch proroczy.

* *

*

Znowu noc mija i ranek dnieje,
Hukie'n dział ziemia zadrżała święta,
Z dymem uchodzą wrogów nadzieje,
Bo twierdzę broni moc niepojęta.

I znów jak wczoraj, tam u wylomu,
Snieżną chorągwią suknia powiewa,
Jak groźna wieszczba pogan pogromu,
Co serce Baszy trwogą przeszywa.

Nigdy rad polską pono dzielnicą,
W cudniejszej krasie słońce nie wstało,
Miecz w każdym ręku lśnił błyskawicą,
A czoła zorzy świeżały chwałą.

Nagle rycerze z Trembowli szczytów
Widzą z podziwem w obozie wroga,
Jakby grom wypadł z czystych błękitów,
Powstaje wrzawa i rośnie trwoga.

Toczą się działa, chorągwie lecą,
Jako śnieg w słońcu znikły namioty,
Jeszcze księżyc nad niemi świecą,
Ale w tumanie giną już rotę.

W tém zdala ziemia jęknęła gromem,
Jakby świat cały z posad się walił,
Niewiasta stojąc ponad wyłomem
Woła: „o, bracia! Bóg nas ocalił.

Słyszę głos jego, to mściciel Boży,
To nasz Jan trzeci przybył na sławę,
Nim słońce głowę do snu położy,
On skosi mieczem wrogów jak trawę.“

* *

*

Rycerze wielbią moc niepojętą,
I pieśń w powietrzu dzwoni nad niemi,
Gdy kapłan czyni ofiarę świętą,
„Witaj królowo nieba i ziemi!“

A kiedy pędzel słońca złocisty,
Malował lasy, pola i góry,
Nagle jak gdyby świat duchów mglisty,
Liczny huf jeźdźców wypłynął z chmury.

Ale to nie są duchy ni cienie,
Ku wałom twierdzy na koniach lecą,
Słysząc już tętent kopyt i rzenie,
W blasku zachodu proporce świecą.

To polskie orły lśnią i pogonie,
I piersi mężów jak stal ich twarde,
Silne i groźne jak piorun dłonie,
I jako baszty czoła ich harde.

Już wódz rycerzy stanął u brony,
A okrzyk z wałów radośny bije:
Pogromca pogan, wódz niezwalczony,
To król Jan trzeci, niech król nasz żyje.

Król najprzód wodza załogi woła,
Dzięki za twierdzy czyni obronę,
Ale Samuel patrzy do koła.
I milcząc, wskaże ręką na żonę.

A kiedy król go ciekawie bada,
Coby znaczyła ta białogłowa,
On rzecz jak była mu opowiada,
W końcu do niego prawi w te słowa:

„Królu mój, Panie mój miłościwy,
Nie mnie a żonie cześć się należy,
Jój to hart serca, gniew sprawiedliwy,
Ocalił sławę twoich rycerzy.“

Król gładząc wąsa, lekko się skłonił,
I rzekł, w niewiasty patrząc się lice:
„Dzięki, Bóg tarczą nas twą osłonił,
Pan wierną podniósł swą służebnicę.“

Liść najcudniejszy ziemi wawrzynu,
Gdzie taka dzielna wzrosła niewiasta,
Więc na pamiątkę owego czynu,
Włożę na głowę koronę Piasta.“

Widzenie.

Widziałem we śnie gmach wielki, stary,
Sięgał on nieba jak Tatry czołem,
Zegarem wieków jego filary,
A gmach ów cały wspomnień kościołem.

W przysionku gmachu stała chrzcielnica,
Obok bohater pierwszy w koronie,
Grom u stóp jego i błyskawica,
W gwiazdach kąpało się jego skronie.

Miecz trzymał w ręku, kreślił granice,
I wyrył szczerbiec mieczem na bramie,
A oczy jego niby gromnice,
Po Dniepr od Tatrów sięgało ramie.

I stał bohater w przysionku starym,
Poranna nad nim świeciła zorza,
On sam był tutaj sklepu filarem,
Choć sklep miał przestrzeń wielkiego morza.

Za tym przysionkiem, w progu kościoła,
Słyszałem burzy groźne pioruny,
A jak w noc ciemność była dokoła,
Jeno blask krwawej przedzielał łuny.

W łunie pożaru dwaj męże stali,
Wielcy, poważni jak stara sława,
Po rozhukanej stąpali fali,
A fala była jak obłok krwawa.

Jeden mąż upadł przeszyty gromem,
I z czoła jego spadła korona,
Lecz drugi z łaski znakiem widomym
Podjął koronę z przepaści łona.

Od tego męża światłość nieznana
Biła o łuki, o sklep kościoła,
Twarz jego krasą słońca rumiana,
Promienie z jego tryskały czoła.

Pierwszego z królów miecz w jego dłoni,
Jaśniał jak wielka zorza północy,
A kiedy chwałą bitwy zadzwoni,
Żaden dzwon, piorun nie ma tej mocy.

Bluszcz z jego czoła rośnie do góry,
Na kształt olbrzymiej pajęczej sieci,
Oplata ołtarz, ganki i chóry,
A imię męża: Bolesław trzeci.

Zniknął bohater, inne widzenie,
Ciemność zapada, stare wawrzyny,
Niby grobowca zdobią sklepienie,
Ale umarli męże i czyny.

Na cztery rozpadł się gmach dzielnice,
Jęk bohaterów groby wydały,
Bo krwawe szlaki znaczą granice,
A orzeł skrzydła opuścił biały.

Głuchy jęk dzwonów bije o ściany,
Słysząc płacz wielki, jak na pogrzebie,
I Chrystus płacze ukrzyżowany,
Smutna Aniołów pieśń dzwoni w niebie.

Wśród żałobnego grzmi burza śpiewu,
Piorun wystrzelił w ołtarz kaplicy,
Jak znak widomy Pańskiego gniewu,
W mgłę zapadł obraz Boga-rodzicy.

Wtém słyszę, dzwonu głos nagle rośnie,
Dzwoni, jak gdyby na Zmartwychwstanie,
W grobach drżą ojców kości radośnie,
Bo dnia wielkiego świta zaranie.

Wychodzi z cieniów i wznosi dłonie
Rycerz i tułacz z kijem pielgrzyma,
Korona z cierniów wieńczy mu skronie,
A z oczów świeci dusza olbrzyma.

Cały gmach hymnem zabrzmiał wesela,
Kij się pielgrzyma w miecz Chrobrych zmienia,
W cierniowym wieńcu, z mieczem mściciela,
Spłaca on w trudach dług odkupienia.

Znów rozproszone stare filary
Zbiegły się, w drzewo ogromne zrosły,
A cały kościół, przybytek wiary,
Stał nad tém drzewem, jak krzyż wyniosły.

Nastała cisza wielka, urocza,
Zatém mąż wyszedł z księgą zakonu,
Myśl z jego czoła bije prorocza,
Lud do stóp jego garnie się tronu.

Lud jak do ojca wyciąga ręce,
A król i ojciec mu błogosławi,
Łzy z oczów ludu płyną w podzięcie,
On lud ukochał i lud go wsławi.

Nagle zapada czarna zasłona,
Zwita zakonów księga w żałobie,
Ostatni z Piastów, król chłopków kona,
Już naród płacze na jego grobie.

Znów po dniu jasnym nastał dzień próby,
I znów jak przed tém niebo się chmurzy,
I znów rozwiera się przepaść zguby,
Lecz nowe życie drzémie w téj burzy.

Wiecie, że kiedy północna zorza
Powstaje w wielkim blasku i chwale,
Słysząc szum, łoskot, jakby gwar morza,
Kiedy piorunne zahuczą fale.

W walce dnia z nocą, w mglistym obłoku,
Staje na ziemi cudna niewiasta,
Talizman ducha, siła w jój wzroku,
Rzekłbyś, że ona córką jest Piasta....

Ale na rękach ma z róż kajdany,
Wiotka jój postać jak lilija biała,
Za lada wiatru powiewem drżała,
Jakby jój wieniec ciążył różany.

Anioł stał z krzyżem tuż przy jój boku,
Lecz go niewidzi piękna dziewica,
Chociaż swym wzrokiem tonie w obłoku,
Do róż się ziemskich śmieją jój lica.

Nagle w jój oczach, w duszy kryształe,
Budzi się walka silna, namiętna,
Żywo jój serca igrają fale,
Postać w obłoku zapada smętna.

Anioł, co trzymał krzyż brylantowy,
Szepnął do ucha jój słowo wieszcze,
Mgła z niej opadła już do połowy,
Ale ją róże krępują jeszcze.

Wtém..... dzwon żałobny bije o mury,
Jęk w nim narodu smutnie zadzwonił,
Dziewica wzniosła oczy do góry,
Jój wzrok za niebem myślą pogonił.

I w téjże chwili opadły róże,
I krzyż chwyciła już w obie ręce,
Tak były piękne oczy jój duże,
Jak oczy świętych natechnionych w męce.

Hymn wielki zabrzmiał w murach kościoła,
Jak gdyby naród zmartwychwstał cały,
A biła jasność z królowej czoła,
Mocą jój światła mgły się rozwiały.

Wielkie i świetne miałem widzenie,
I nagle w przepaść zapadłem ciemną,
Patrzę..... to nie jest senne marzenie,
To rzeczywistość i grób podemną.

Grób wielki, ciemny, jak Wawel stary,
Gdzie legł przeszłości rycerz ostatni,
Święty wspomnieniem bólów, ofiary,
Grób drogi sercu, jak całun bratni.

* *

*

A jest wieść bracia, w starym Krakowie,
Co u stóp mogił jak lutnia leży,
Co ma i szaty i serce wdowie,
Smutne jak dzwony Maryackiej wieży.

Jest wieść — jak ludu rzewna podanie,
Że kiedy naród w łzach tonie cały,
Kiedy do Boga wznosi wołanie,
Z grobów Wawelu wstaje duch biały.

Jak opiekuńczy ów duch anioła,
Co dotąd czuwa nad swym narodem,
Chodzi wśród murów wspomnień kościoła,
Niewiasta z licem światłem i młodem.

Z różańcem w ręku, w żałobnej szacie,
Bo w sukni białej z szlaki czarnemi,
Chodzi jak matka po dzieci stracie,
Jak matka błaga Boga za niemi.

Na szyi perły błyszczą gwiazd wiankiem,
Kiedy się modli za przyszłość ludu,
Łzy z jej ocz płyną, jak rosa rankiem,
Jak rosa twórczą moc mają cudu.

Bo lud, Jadwigi cześci cień grobowy,
Bo tak ją naród ukochał cały,
Jak swój najdroższy wieniec cierniowy,
Miłością czystą, jak źródło ze skały.

Co żyje w Bogu, to nieumiera,
A ma jak Chrystus wstać w majestacie,
W dniu wielkiej nocy grób się otwiera,
Lecz zmarli w innej budzą się szacie.

Bo zważcie bracia, wiek minął stary,
Gdy miecz Joanny, miecz czystej chwały,
Kiedy Jadwigi kielich ofiary,
Odkupił naród i podniósł cały.....

A więc kraj niechaj będzie kościołem,
I lud kapłanem świętych ołtarzy,
W wieżę, co nieba dosięgnie czołem,
Żaden grom strzelić się nie odważy.

STROFY ULOTNE.



STROUZZ-FOOT

GROBOWIEC WŁADYSŁAWA BIAŁEGO

w Dziżońskim kościele.

Zdrój życia tryska w słońca promieniu,
Ludzkość do wielkich celów dorasta,
A stara przeszłość żyje w kamieniu,
Jak postać mnicha rycerza Piasta.

Gdy z różnobarwnych szyb blask poranku
Oświeci nieme głazu oblicze,
Cięń bohatera spływa z krużganku,
W posągu życie drży tajemnicze.

Oko, co niegdyś miałoł gromem,
Naprzemian żalem, zgrozą przenika,
Niby ruina stara i dzika,
Z śladem pożaru jeszcze widomym.

Ale łzę z powiek wyciska skrucha,
I burzą życia zorane skronie,
Aureola oświeca ducha,
W korniej modlitwie zawarły się dłonie.

On mnich i książę, rycerz, kochanek,
Gdy strawił młode w rozkoszy lata,
Włożył na głowę cierniowy wianek,
Niby wzgardziwszy uciechą świata.

Jak orzeł w klatce zamknięty srodze,
Kiedy na błękit nieba spoglądał,
Rwał się zza kraty w żalu i trwodze,
Krwawił pierś własną i wzleciec żądał.

On już zatopił w przestrzeni oko.....
Boć ujrzał sławy na niebie gońca,
Wyrwał się z klatki i wzbił wysoko,
I gonił za nim jak dziecko słońca.

Tam żywsze serca uczuł on bicie,
Gdzie czasem jeno piorun dosięga,
Ukochał burzy szalonej życie,
Bo w burzy orła śmierć i potęga.

I padł po wielu trudach i bitwie,
Jak rycerzowi z Piastów przystało,
Lecąc na ostre upadł w gonitwie,
Z żelazem w piersiach, z mieczem, więc z chwałą.

Znowu zdjął szyszak i zbroję twardą,
I włożył kaptur na głowę szary,
I zmięczył duszę w pokucie hardą,
W łzach i w modlitwie natchnionej wiary.

A odkąd zwalczył żądzę tyranów,
Gdy anioł przyszedł tryumf mu głosi,
On depcze stopą zgrają szatanów,
I oczy w niebo za braćmi wznosi.

Mistrz.

Kiedy morze mu zagrało
Grzmiącym głosem fal,
Oko mistrza zajaśniało,
Patrząc w siną dal.

Nieskończoności duch wionął
W błądą jego skroń,
Rumieńcem w licu zapłonął,
I przemówił doń:

Patrzaj mistrzu na świat Boży,
Patrzaj w morza toń,
Świat i morze skarb otworzy,
Hojnie darząc dłoń.

Patrz na modre wód tych fale,
Słuchaj! brzmi ich ton,
I w swym dzikim niesie szale
Pieśń przed Boży tron.

Stwarzaj mistrzu słowo ducha,
Fal muzyką graj,
Twoich pieśni świat posłucha,
Ty mu ducha daj.

Mistrz uderzył ręką w struny,
Niby piorun z chmur,
Już ogniste szerzy łuny,
Wstrząsa łono gór.

Znowu szumi niby fala,
Niby wichrów jęk,
To się zbliża, to oddala,
To znów rośnie dźwięk.

On już zagrał burzy głosem,
Znowu zmienia ton,
I nad ludem i nad losem
Jęczy, niby dzwon.

Znów wszechwładném rąk dotknięciem,
Stwarza cudny świat,
Wywołuje swém zaklęciem
Wonnych uczuć kwiat.

Z bożych natchnień czerpie wątek,
By miłością żyć,
Z dawnych podań i pamiątek,
Przędzie życia nić.

Światło z grobów łuną bije,
Niebo zorzą lśni,
W krótkie w pieśni téj ożyje,
Postać wielkich dni.

Patrzcie! miecze, zbroje świecą,
Świat umarłych wstał,
Z kraju duchów duchy lecą,
I grzmiały echa skał.

Coraz śmielój, coraz hyżej,
Jak ptak z śnieżnych gór,
Leci piosnka coraz wyżej,
Grzmi jak piorun z chmur.

Ale próżno zza obłoków,
Świta ranny brzask,
Zapoznany głos proroków,
Zdrój tęczowych łask.

Prędzej morza skamienieją,
Prędzej w rannój mgle,
Góry, skały się rozwieją,
Na błękitném tle.—

Prędzěj lodem skrzepnie słońce,
I stanie się cud,
Niżli mistrza pieśni wrzące,
Stopią serca lód.

Lecz on śpiewać zawsze będzie,
Choć go ziębi świat,
Bo uśmiecha się wszędzie
Piękno — Boży kwiat....

Za tym kwiatem leci, goni,
Wśród podniebnych skał,
Od powabów świata stroni,
Żywiąc serca szal.

Wieszczu, mistrzu! duszą w niebie,
Czołem sięgasz chmur,
Ten świat mały jest dla ciebie,
Bo ty patrzysz z gór.

Leć za słońcem, orla wzrokiem
Mierz krainę burz,
Zawsze prawdy bądź prorokiem,
Z grobów przyszłość wróż.

Twojém państwem jest kraj ducha,
W głązy ducha wlej,
Tam gdzie noc zaległa głucha,
Ziarno słowa sięj.

Kochać wiecznie bez udziału,
Lać miłości zdrój
W martwe serce ideału,
To los mistrzu twój!

Góral.

Piętrzą się góry olbrzymy stare,
Czoła swe kryją w porannej mgle,
A skały niby zamczyska szare,
Snują się zdala na niebios tle.

Cicho, jak było we dniu stworzenia,
Gdy owo „stań się!“ wymówił Bóg,
I kiedy wielki gmach przyrodzenia
Wyrosnął z błędnych chaosu dróg.

Patrz! już się góry szczyt zarumienił,
Lekko jak czysta dziewicy skroń,
Już się zapłonął, już opromienił,
Już się zapatrzył w jeziora toń.

Spadają, nikną mgły już rozwiane,
Góra się patrzy w zwierciadło wód,
Jezioro drżemie ukołysane,
Jeszcze go nocny owiewa chłód.

I słońce zwolna wychyla czoło,
Złocisty jego igra już włos,
Z falą jeziora igra wesoło,
Z liści otrząsa dyamenty ros.

Rumiane słonko na poły w chmurze,
Z rozkoszą patrzy na Boży świat,
Mile się wdzięczy matce naturze,
Jemu się wdzięczy doliny kwiat.

Poranek zawsze jest uroczysty
Tam, gdzie krajobraz ma szatę gór,
Czy grzbiet ich światłem jest promienisty,
Czy zasępiony turbanem chmur.

Zawsze poranna pieśń w górach dzwoni
 Harmonią cudnych poezją dni,
 Zawsze za słońcem duszy się goni,
 Zawsze o niebie w górach się śni.

Złotym dyademem bogata góra,
 W dolinie wielki rysuje cień,
 Na jej ramionach światła purpura,
 Jasny i piękny zwiastuje dzień.

Ze słońcem, życie i pieśń się budzi,
 Góral ku niebu wyciąga dłoń,
 On kocha góry, bo w nich się trudzi,
 Bo wśród nich potem zlewa swą skroń.

A gdzie jest miłość, ciernie być muszą,
 Tak już od wieków rozrządził Bóg,
 Ten kocha sercem, kto płacze duszą,
 Kto wśród skalistych trudzi się dróg.

Życie górala — to życie burzy,
 Góra i niebo to jego dom,
 On niezna kwiatów, on niezna róży,
 Harmonią jego pieśni jest grom.

Ale on wita pieśnią poranek,
 Pieśń jego słyszą opoki skał,
 On król przyrody, on gór kochanek,
 Powierza górom duszy swój szal.

Skacze jak jeleń z skały na skałę,
 Po nad przepaści zsuwa się brzeg,
 Goni, za zwierzem wypuszcza strzałę,
 Choć mu lawiny zagraża śnieg.

W walce z przyrodą serce mu bije,
 Bo on namiętnie ukochał bój,
 I wtedy w pełni życia on żyje,
 Gdy góra burzy przywdziewa strój.

A za tę chwilę namiętnych czarów,
Znalazłszy w walce przedwczesny skon,
Pomnik ma wieczny z góry filarów,
I grób w tém miejscu, gdzie miał swój tron.

Zapłaczą nad nim chmury na niebie,
Choć się dzwonu nie ozwie jęk,
Wiatr śpiewać będzie mu na pogrzebie,
W ogniu błyskawic piorunu dźwięk.

Lipa.

Poważna lipo, sadów królowo,
Drzew naszej ziemi stara matrono,
Stoisz się w szatę wiosny zieloną,
Choć licznych jesteś pokoleń głową.

Kiedy ozdobna spadnie korona,
Gdy jesień liście twoje pozmiata,
Biała cię zimy osłoni szata;
I czekać będziesz oblubienico,
Wznosząc ku niebu śnieżne ramiona,
Póki nie spłynie łzawą krynicą,
Twa szata, żarem słońca stopiona.

Lubię cię widzieć mogił ozdobą,
Gdy z ojców naszych rozmawiasz światem,
Czyś strojna w liście zielone latem,
Czyli w jesieni smutna żałobą;—
Lipo! tyś moich marzeń ołtarzem,
Wspomnień przeszłości żywym obrazem,
W szmerze twych liści po nad cmentarzem,
Przemawiasz do mnie zmarłych wyrazem.

Ty chat wieśniaczych i świątyni progi
Oślaniasz twoim przyjaznym cieniem,
Choć po twém czole piorun złowrogi,
Nieraz ognistém orał ramieniem.

Ty u wrót wspomnień stoisz na straży,
Ty przypominasz nam w obcej stronie
Miłość rodzinnych naszych ołtarzy,
Woń naszych kwiatów i nasze błonie.

Ty przypominasz nam dzwon kościoła
Ukryty w twoich gałęzi cieniu,
Kiedy do Pańskiej świątyni woła,
Gdy w harmonijném powietrzu drzeniu
Słyszysz lud Boży dźwięk dobrze znany,
Dźwięk uroczysty i ukochany,
Co tak się z każdym łączy wspomnieniem:
Z troską, z radością, z żalem, z cierpieniem,—
Co lży wyciska, gdy serce boli,
Koi balsamem wiary w niedoli.

Ty przypominasz mi lipo stara,
Jak silna ludu naszego wiara
Stroi ołtarze pod twoim cieniem,
Jak każdy spieszy i z serca drzeniem
Ubiera ołtarz w wianek różany,
By uczcić święto Pana nad Pany.

Ty przypominasz mi skoczne tany,
Świąteczne naszych chłopków zabawy,
Ich dzielny mazur, oberek żwawy:
Widzę, jak młodzi cholupce biją,
A starzy w cieniu gawędzą, piją,
I ważne toczą z sobą rozprawy,
O ekonomie, o gorzelnianym,
O dobrodziejstwie swoim kochanym.

Tam za dziewczeczką parobczak goni,
Dziewczę nie ujdzie jego pogoni...

A skoro razem w parze wyskoczą,
Hu, ha!.... zawoła mazur ochoczo.

Sunie się znowu para za parą,
Skrzypek dzielnego gra im mazura,
A po nad drzewem, nad lipą starą,
Gęsta tumanu wzbija się chmura.

Mkną w koło lipy we mgle kurzawy,
A gdy pod koniec hucznój zabawy,
Młodym i starym kręci się głowa,
Podochocona stara Walkowa:
„Chodźwa do tańca“ na swego woła.

Walek wyskoczy z gromady koła,
Bije chołupca jak opętany,
Boć to jest taniec nad wszystkie tany,
Dziarski, ognisty, mazur kochany!

Od pokolenia do pokolenia,
Stary i młody pod lipy cieniem,
W pięknych dniach wiosny, w godzinach lata,
To życie trudów, pracy, cierpienia,
Pieśnią, muzyką, tańcem przeplata,
I słodkiem dawnych czasów wspomnieniem.

* *

*

O Czarnoleska lipo poety,
Pod twoim cieniem śpiewak natchniony,
Głos wydobywał żalem tłumiony,
Nucąc Urszuli swojej zalety.

Kilkuwiekowém poważna czołem,
Tyś była wspomnień wieszczą kościołem....

Ale już runął twój gmach wspaniały,
Podcięty podłą ręką zbrodniarza;
Bo kto pamiątki kraju znieważa,
Na tego kłatwę rzuca kraj cały.

Odwieczna lipo, co w Piotrowinie
Słyniesz świętego męża imieniem,
Strzelając w niebo dzielne ramieniem,
Świadczysz, że pamięć cudu nie ginie.
Ty według podań naszego ludu,
Jesteś żyjącem świadectwem cudu *).

* * *

Niby nad dziećmi, nad nami w górę
Twe opiekuńczo wznosisz ramiona.....
Lubię cię widzieć, gdyś ozłocona
Słońcem zachodu, strojna w purpurę.

Lubię cię lipo w blasku promienną,
Bogata, złotym kwiatem brzemieną,
Co ma woń lilij i słodycz miodu;
Lubię cię widzieć matką narodu,
W kole drzew młodych, wśród ogrodu;—
I w cichéj nocy pięknego lata,
Gdy księżyc srebrną nicią oplata,
Gdy drżą twe liście w jego promieniu.
O! lubię wtedy, siadłszy w twem cieniu,
Wznieść się mą myślą do tronu Pana,
Gdy nikt prócz Boga modłów nie słyszy,
I oprócz ciebie lipo kochana!

*) W okolicy Piotrowina przechowuje się pomiędzy ludem po-
danie, że Mąż święty w dniu spełnienia cudu zasadził własną ręką
gałązkę lipy, z której wyrosło drzewo, po dziś dzień lipą Śgo Sta-
niława zwane.

Przy szmerze liści, w téj nocnej ciszy,
Lubię, ah! lubię przeszłości szlakiem,
Po niebie wspomnień wędrować ptakiem.

Ty przypominasz mi dawne dzieje,
O polska lipo, o lipo stara!
Stoisz od wieków silna jak wiara,
Jak święte w sercach ludu nadzieje,
Przetrwałaś burze, wieków koleje,
A szmer twych liści smutnie wspaniały,
Jak żal po latach minionej chwały.

Dęby i brzoza.

Na stromej górze sterczą zwałiska,
Na kształt samotnych przeszłości bram,
A stare dęby w gruzach zamczyska
Stoją na czatach i tu i tam.

Płacząca brzoza smutna, jedyna
Ocienia głuchy zamkowy próg,
Miłość przeszłości nam przypomina,
Którą na gruzach zaszczyił Bóg.

Osamotniona wieżyca szara,
Pochmurno patrzy na Boży świat,
Bo ona wieków pamięcią stara,
Skrzywdzona ręką ludów i lat.

Na rozrzucone w dolinie chatki
Szkielet zamczyska spogląda z gór,
Tam wszystko młode ludzie i kwiatki,
Tam zawsze młody zielony bór.

A młode życie ze starca szydzi,
I zimno mierząc wiekową pleśń,
Bezladne stosy głazów w nim widzi,
Nim go ożywi przeszłości pieśń.

I słońce w swojej promiennej chwale,
Niby szyderczo śmieje się doń,
Gdy bluszcz zielony pnąc się po skale,
Wieńczy prastarą zameczyska skroń.

Ale tam stały stróże przeszłości,
Dęby, co w wieków kąpią się mgłę,
Tam stała brzoza — symbol miłości,
Na dawnych ruin powiewna tle.

Patrz! chmurka bieży w niebios błękicie,
Niby żałobny przemyka cień,
Niby ta młodość, niby to życie,
Co we łzach wita promienny dzień.

Szybko wyrasta ona w olbrzyma,
Szybko zakrywa światłości tron,
Skoro swój czarny rydwan zatrzyma,
Natychmiast burzy ozwie się dzwon.

Coraz to więcej skrzydła rozszerza,
Coraz ciemniejszy przywdziewa strój,
Zwolna ku gruzom zameczyska zmierza,
I na dolinę rzuca cień swój.

Gdzie się przesunie czarnym obłokiem,
Liście drzew smętném przeczuciem drżą,
Ten tylko cieszy się jej widokiem,
Czyjego życia burza jest grą.

Pierwszy grom hasłem uderzył boju,
Nad zwaliskami, nad grzbietem gór,
Co sterczą groźnie w burzy zawoju,
W ognistych wstęgach całunu chmur.

Szumia już dęby odwieczną pieśnią,
Im wtórzy gromu przeciągły ton,
W tych pieśniach mary wieków się prześnią,
W tym gromie jęczy przeszłości dzwon.

A szkielet zamku kilkuwiekowy,
Stary jak wspomnień odległych świat,
Dziwnie spotęźniał piorunu słowy,
Groźnie wyglądał z tych chmurnych szat.

Bo postać wielkich dni tajemnicza,
Kiedy wystaje z przeszłości mórz,
Zawsze ma groźny widok oblicza,
Co ciska gromem i ogniem burz.

Biada wam dęby, stróże zameczyska,
Ostatni wasz już nucicie śpiew,
Chwila waszego skonu jest bliska,
Bo wielkość zawsze wywoła gniew.

Piorun najczęściej w gmachy uderza,
Lub bije w dębów wyniosłą skroń,
Celem pocisków jego jest wieża,
W olbrzymów mierzy potężna broń.

Co to za łoskot? co to za strzał?
Słuchaj! to groźnych żywiołów ślub,
Gromy z wiatrami się pojednały,
Żeby dla sławy wykopać grób.

Padają dęby, losu igrzyska,
Pierś ich rozrywa piorunu broń,
Runęły dęby, stróże zameczyska,
Całuje ziemię dzielna ich skroń.

Została tylko brzoza płacząca,
Co zawsze w łzawej miłości trwa,
Co płacze w burzy, płacze do słońca,
Smętna jak miłość, cicha jak łza.

Ona z tych gruzów czerpiąc swe życie,
Nad niemi warkocz rozwiała swój,
I kocha przeszłość silnie, choć skrycie,
Bolesnych wspomnień wylewa zdrój.

Choć nieraz nad nią szalone burze,
Wiodły z dębami straszliwy bój,
Ona spokojna, jak gdyby w chmurze,
Przeczuła tęczy uroczy zwój.

Bo miłość bracia, jako śmierć mocna,
Ona przebędzie dni ciężkich prób,
Ona zaświeci jak gwiazda nocna,
W dniu Zmartwychwstania otworzy grób.

Azalia i biała róża.

Kwiat — to serce jest człowieka,
W nim świat cały, piekło, raj,
I to życie, co ucieka,
I w tém życiu uczuć maj.

Witam ciebie, witam ciebie,
Ty płomienny słońca kwiecie,
W Machometa wzrosły niebie,
Ty hurysy rajskiej dziecię.

W rubinowym ty diademie,
Kwiecie cudny choć bez woni,
W twym kielichu rozkosz drzémie,
Czemuż serce od niej stroni?

Ha! hurysa czarnooka,
Wieńczy biały marmur czoła,
Kiedy wierny syn proroka,
Po imieniu na nią woła.

Takiem kwieciem umajona,
Jak Azalia płomieniąca,
Jak rumiany miesiąc ona
Stoi zimna i milcząca.

Syn Islamu czoło chmurzy,
I Azalii kwiat przeklina,
Bo woń ziemskiej białej róży,
I jej wdzięki przypomina.

A więc woła: o Allahu!
Piekłem dla mnie jest ten raj,
Jak na szczytach Czatyrdahu,
Gdzie nie kwitnie nigdy maj.

Gdzie żądz fala — wiecznie wrząca,
Gdzie hurysa czarnobrewa,
Jak Azalia płomieniąca,
Lecz jej ogień nie ogrzewa.

Nad zwodnicze raju kwiaty,
Nad płomiennych barw tych świat,
Nad Azalii zdobne szaty,
Białej róży wolę kwiat.

Choć hurysa wabi wzrokiem,
Choć w jej głosie uciech czar,
Ja zawrócę szybkim krokiem
I wyrzeknę się jej mar.

Ona piękna, czarująca,
A w jej sercu wieczny lód,
Boć Azalia z krasą słońca,
Miasto woni, daje chłód.

O Allahu! wzywam ciebie,
Wróć mi jeszcze serca maj,
Bo zapomnę o twém niebie,
I za ziemski oddam raj.

Niech ta piękna czarnobrewa,
Białej róży włoży strój,
Niech pieśń taką mi zaśpiewa,
Co raj dawny wróci mój.

Niech westchnienie białej róży,
Jój owionie cudną skroń,
Ja nie szukam szczęścia w burzy,
Co jeziora mroczy toń.

O Allahu, wróć mi jeszcze
Dawną miłość, dawną łzę,
A umają skroń sny wieszce,
I w nich będą wielbić cię.

Nad zwodnicze raju kwiaty,
Nad płomiennych barw tych świat,
Nad Azalii zdobne szaty,
Białej róży wolę kwiat.

Bratki.

Wszystko, co raj nam przypominać może,
I to co piękne, i co miłościwe,
Czyste miłością i święte w pokorze,
Wszystko tu w kwiatach na ziemi jest żywe.

O wiosny dzieci, o nadobne kwiatki,
Witajcie skromne naszych łąnów bratki!

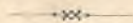
Czyli dziewicy skroń wieńczycie białą,
Czy zawieszone na krzyżu, na grobie,
Tchnienie braterskich serc jest waszą chwałą,
W nadziei, w smutku, w szczęściu czy żałobie.

Rosa, co w waszém lazurówém oku
Błyszczysz najczystsza jak diament łzawnicą,
Płynie z serc bratnich świętego potoku,
Bo miłość rosy i łez jest krynica.

Wy uśmiechacie się barwą błękitną,
Jak zmartwychwstania nadzieją na grobie,
Boć bratki tylko na tych grobach kwitną,
Co są zroszone bratnią łzą w żałobie.

I na téj ziemi — gdzie miłość słońcem,
Gdzie dzwon wieczorny pieśnią w sercach dzwoni,
Co w czarnej nocy jest jutrzeńki gońcem,
Gdzie anioł skarbeca czystej wiary broni.

Kwiatku! trójbarwną szatą ozdobiony,
Nim najcudniejsze zagaisz korony,
Bądź dla mych braci trzech cnót przypomnieniem,
Miłości, wiary, nadziei imieniem.



Kamień.

Jak mąż z dziecięcia, tak ludzkość rośnie,
Młodzieniec buja w świecie omamień,
Starzec odradza się w młodej wiosnie,
I wszystko żyje, gdy drzémie kamień.

Drzewa i kwiaty mają swą mowę,
I woń współczucia i diament rosy,

Szaty żałobne albo godowe,
I ludzką miłość i ludzkie losy.

Jak świat ten wielki, jak świat nasz Boży,
Wszystko się pali w tęczy nadziei,
Z pączka wystrzela kwiat bujny, hoży,
Sam głąz w niezmiennój drzémie kolei.

I drzémie cicho, jak wieczność kamień....
Ale zaczekaj! pora się zbliża,
Gdy głąz ten zadrży życiem omamień,
Lub wielką myślą ofiarną krzyża.

Nadchodzi rzeźbiarz z natchnienia młotem,
Na kamień wionął duch miłościwy,
Powstaje rycerz z buławą, z grotem,
Niby Archanioł piękny i mściwy.

A tam z nieczulój bryły kamienia,
Wystrzela postać cudnej urody,
Miłość snąć kształty jój opromienia,
I myśl potężna, jak duch swobody.

Snycerz w głąz przelał już duszę całą,
Więc skoro dobiegł kresu zawodu,
Kamień rzeźbiarza stanął się chwałą,
A rzeźbiarz chwałą swego narodu.

